

WISNYA

POLSKI

Nr. 28.

PRENUMERATA we LWOWIE	
Tydzien	kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym	" 2 " 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:	
Tydzien	kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym	" 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
 plac Halicki L. 14.

Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIM	
Tydzien	kwartalnie 6 m.
— z dodatkiem powieściowym	" 7. "
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.	
Tydzien	kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym	" 8 "

OPERACJA FINANSOWA NA ŻYDACH.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEN PRZESZŁOŚCI

skreślił

M. STARCZAK.

(Ciąg dalszy.)

Rozbiegła się w miasteczku wiadomość, że nowy sprawnik do propinatora zajechał. Wierzyli i nie wierzyli ludzie, bo nikt nie słyszał dzwonka, a sprawnik w objeździe bez dzwonka, to bez buławy hetman, lub bez korony król. Kiedy fakt jednak sprawdzono, poczęli do gromady zbiegać się mieszczanie. Każdy miał jakiś interes, bo tyle ich namnożyło się i zalega od tego czasu, gdy wylew rzek odciął od powiatu siedzibę władz jego. Główny frasunek miasteczka, to ciężąca na niem władza miejscowego policyjnego dozorca, pierwszej i ostatniej instancji miejscowej w kwestiach porządku policyjnego, administracji i sądu.

Wszystko to na owe czasy dzierżyła jedna osoba, a tą był dymisjonowany podoficer żandarmów, więc przedewszystkiem służbista, a więc lis szczwany i na łapówki ryzykant. Wiedział on co się święci w miasteczku i nad czem w sąsiednim domu mieszczanie radzą, toż uprzedzając wszystkich, pierwszy zamierzył stanąć przed obliczem sprawnika. Propinator był przyjacielem jego, jako człowiek w miasteczku najbogatszy i najwięcej interesów mający. Za względność i uczynność wypłacał się dozorczy rocznie, znał jego sprawy i słyszał parę razy o możliwej ze strony mieszczan skardze zbiorowej, toż posłał natychmiast do niego wiadomość o przyjeździe do mia-

steczka sprawnika. Gdy mieszczanie na naradę schodzić się poczęli, dozorca (po rosyjsku *tysiacki* — tysięcznik) wdziewał już mundur, uporządkował medale i kresty, a miał niemi od ramienia do ramienia zawieszoną pierś całą — wdział czapkę na bakier, uszwarcował i w łuk pod nosem zakręcił wąsy... i zadowolony z siebie, a rachubą na protekcję propinatora zajęty, ruszył do uprzywilejowanej dla wszystkich sprawników i assesorów kwatery w propinatorskim domu.

Dostojnik ten, czuwający nad »ściśleństwem« w miasteczku i okolicy wykonywaniem urzędowych przepisów, za moich czasów (przypuszczam, że i teraz tak samo) w hierarchii władz zajmował ostatni szczebel i był wykonawcą zleceń assessora swego obwodu. Obowiązki jego określały się formułą instrukcji stałej i treścią jej. Zwyczajowo dozorczy na dwoje to potrafili rozdzielić, więc *formułą* kierowali się co do zleceń i skarg, *treść* zaś... zarezerwowali dla własnej inicjatywy. Rozumieć to należy w ten sposób, że na polecenie assessora piśmienne, odpowiadali także piśmienne krótko i węzłowato *tak* albo *nie*; rzecz znowu postaciowała się zupełnie inaczej, gdy p. policyjnemu dozorczy szło o własne korzyści: tu już miał prawo rozpisywać się szeroko i długo, albo... nic wcale nie pisać. Mając zlecony sobie przez instrukcję i ogólne słowne rozkazy dozór nad porządkiem i spokojem bezwzględny, miał prawo czuwania nad modlitwą w kościele, miarą i wagą w szynku, — nad sposobem myślenia ludzi trzeźwych i wykrzykami pijaków, — nad zjazdem gości do wiecznie podejrzanych o politykę dworów i planami przemysłowców, wyprowadzających z cudzej stajni po nocach konie — a więc był zajęty jednym i tym samym we dnie i w nocy frasunkiem, czy wszystko w jego okręgu funkcjonuje wedle urzędowej

formuły, przepisanej na modlitwę i handel, na uczynek i myśl... aż do strapienia, łez, boleści i śmiechu. Obszernych zakresów władza! Nie mając żadnej płacy od rządu, żył on własnym przemysłem, a więc ucha nadstawiał w kościele, wieczorami zaglądał w okna, słuchał pode drzwiami, węszył w miasteczku i na wsi. Co wypatrzył, wywąchał, wysłuchał, to ważył następnie i klasyfikował wedle widoków zysku: donosił władzy, gdy nic od nikogo w łapę nie dostał i gdy nie było innego środka, żeby zniewolić »podejzranego« albo »posądzanego« do datku, a milczał znowu i na zapytania odpowiadał ogólnikami, gdy mu to zapłacono z góry gotowym groszem. Największy dochód ciągnął zwykle z furmanek, które od włościan miał prawo brać »wedle potrzeby«, oraz z handlowego na cudze konie przemysłu. Były to dla dozorców dochody stałe, ostatni zaś rodzaj czujności najlepiej zwykle im się opłacał.

Z tytułu różnorodności swych obowiązków i praw, mieli oni przyjaciół, lecz i niechętnych wielu. Właśnie ci ostatni w Łużkach wyszli z domu narady i kupą ciągnąc mieli przed dom propinatora, korzystając ze zjazdu sprawnika.

Ledwieśmy zakończyli czynność »urzędową« z żydowskimi księgami i mieliśmy wychodzić, drzwi się otworzyły — wchodzi dozorca.

Stanął u proga, wyprostował się i na rozkazy czeka.

— Ty kto? — zapytał sprawnik.

— Tysiacki wasze wysokobrrrdie! W miasteczku i okręgu wszystko *blahopólnie* (pomyślnie).

— Maładiec! Pamiętaj: służ wiernie, łapówek nie bierz i ludzi nie *przyjmaj* (nie uciskaj). Za wszystko to ja karzę ostro. Rozumiesz?

Propinatorowi wyciągnęła się do śmie-

chu twarz, zakrył ręką usta, żeby nie parsknąć głośno na tę instrukcję sprawnika. Spojrzał znacząco na dozorcę, kiwnął głową i wyszeptał pół głosem »richtig!... aj waj«.

Dozorca na głos odpowiedział:

— Słuszajus (słucham)! Prykazanij nie budiet?

— Niet... stupaj!

Zrobił lewo w tył i wyszedł za drzwi.

W parę minut potem myśmy już siedzieli w powozie. Sprawnik wsiadając dostrzegł kupę ludzi w ulicy, pędem biegnących ku domowi propinatora.

— To co? — zapytał dozorcę.

— Ciekawi... zwyczajnie gawieź.

— Rozpędzić do domów.

Powóz potoczył się w przeciwną stronę, słyszeliśmy tylko za sobą wołanie jednych, śmiech drugich, słowem powstała wrzawa, a wśród niej górował gromki dozorca głós: »damoj skatiny!« (bydło).

Prawda! Zostawiamy za sobą wedle raportu jego »wszystko *blahopoluczno!*« Instrukcję dostał, skargę ogólną uchylił... czegoż więcej potrzeba, żeby w miasteczku był spokój niezamącony »wedle przepisów«.

Ocalona powaga władzy miejscowej!

— No, jakże teraz pan powiesz — zapytał mnie p. Brańców w powozie, — mam na sprawnika spryt?

— Bez zaprzeczenia.

— Więc widzisz... nie wszystkiego ja potrzebuję się uczyć w tym nowym dla mnie zawodzie. To dar natury!

I my, przypominając te dawne czasy, powtarzamy dziś za nim: »tak, to dar natury!« Spryt taki jest wrodzony tylko ludziom obcym dla kraju, korzystającym ze wszystkiego, a więc ze stanowiska, z prawa, ukazów, jedynie dla własnej kieszeni. I ludzie tacy rządzą krajem sto lat! Ma się z tego wyłonić uznanie dla rządu, zgoda i pojednanie z narodem, który nas takimi nasłaniami obdarza!

Gdyśmy dojeżdżali do łuzeckiego dworu, sprawnik powiedział:

— Ten Szczygielski... djabli go wiedzą! Zagadkowy człowiek i z nim trzeba ostrożnie. O tem przesiedleniu wypada donieść gubernatorowi i napisać tak jakoś gładko, umotywować, żeby potem łatwo odeprzeć przyczepki. Niech pan pomyśli o tem.

W ganku przed oficyną stał rządcą z doktorem Jaroszewiczem. Obadwa nadskakujący i ugrzecznieni, pomogli sprawnikowi do wysiadania, jak żeby był starcem albo kaleką.

— Konie, p. naczelniku — przemówił rządcą — są gotowe, według rozkazu... ale i śniadanie gotowe.

— Niet! niet!... dziękuję. Nam pilno, musimy jechać.

— Ależ to tyle nie zajmie czasu — wtrącił Jaroszewicz — interesa nic nie ucierpią. Pięć mil i po naszych roztopach wiosennych, więc na milę półtorej godziny, przyjedziecie głodni, a na poczekaniu nic nie dostaniecie w Głębokiem.

— Ja z moją interwencją podążam — odezwał się za nami kobiecy głos. — Więc p. naczelnik za nic masz moją dbałość o niego? W miasteczku nic i tutaj nic... ja nie pozwalam na to. Służę p. naczelnikowi.

— Moja żona — powiedział rządcą.

Rządczyni podała rękę i Brańców rad nie rad musiał z nią iść. Ja z doktorem zostałem w ganku.

— Czy wy naprawdę do Głębokiego jedziecie? — zapytał — czy też gdzie wstąpicie po drodze... i gdzie?

Widziałem, że Jaroszewicz tą naszą jazdą zainteresowany jest bardzo, a rzeczy urzędowe nie obchodzą go zwykle i sprawnikom nie nawija się nigdy przed oczy. Jest w tem sęk jakiś — pomyślałem — bo i to śniadanie i wybiegnięcie aż na ganek rządczyni nie bez przyczyny.

— Co was tak zaintrygowała ta nasza jazda? Wtęm jest coś — odpowiedziałem. — Robimy poprostu najazd na żydów Głębockich.

— Z żydami rozprawicie się rublem — więc mniejsza, a tu rzeczy ważniejsze. Można i to zrobić za ruble, lecz ich wiele potrzeba. Parę dni temu był w Sielcach ten egzekutor... no, ten... wiesz... co siedzi u Kamińskiego i kradnie... łotr jednym słowem. Zrobił tam awanturę.

— Słyszałem.

— Już wiecie?... doniósł? Więc nie do Głębokiego wyprawa, ale do Sielców.

— Ależ wolno, wolno... za kogo zresztą mnie masz! Rozumiesz przecie, że gdybyśmy do Sielców jechali, to albo ty doktorze, albo w Sielcach mielibyście ode mnie posłańca.

— A zkądże wiesz?

— Kamiński mi o tem zajściu napomknął, ale rozmówić się obszerniej nie było czasu. Powiedz, co to tam było?

— Cóż w Sielcach innego być może?... polityka za stołem. Franciszek (Podbipięta) kapitan i ten kapitan, kieliszków nie szczędzili, zawiązała się rozmowa, sprzeczka, inni pomogli. Mówili o Napoleonie, o roku 1812, o Moskwie i legionach... i Franciszek upierał się, że Napoleon był lepszy, że ideą rewolucji francuskiej odnawiał świat, że żołnierz francuski bitniejszy, a legionistów pod niebiosą wynosił; ten zaś... no, ten... drapichrust, łotr... u niego Aleksander górą — wielki, szlachetny, a wojsko rosyjskie... uważasz?... rycerze! Słyszane to rzeczy!! Pokłócili się w końcu, a ja także tam byłem. Ten...a, Szczygielski — przecież złapałem nazwisko... zrobił poprostu burdę i wykrzykiwał, że doniesie, że natychmiast raport wyprawi... chciał aresztować, wiązać. Skończyło się na tem, że ja mu wetknąłem 50 rubli... odjechał. Idzie o to, czy doniósł lub nie?

— My nic od niego nie mamy... ależ tego nie rozgłaszajcie, bo się niepotrzebnie samo rozmaże.

— Nie, nie... uchowaj Boże! Mówię tylko do ciebie.

Jaroszewicz był bardzo uradowany, że Szczygielski nie zrobił urzędowego użytku

z burdy, którą zresztą sam w Sielcach wyprawił.

— Teraz — dodał — ruszajcie, jedźcie gdzie chcecie... z Bogiem!

Śniadanie przeciągnęło się nieco, bo zabrało nam parę godzin, wyjechaliśmy jednak koło południa. Ze względu na drogę, można było rachować, że w Głębokiem staniemy o zmroku.

— Jak pan myślisz? — zagadnął mnie sprawnik w drodze — ten propinator łuzecki mógł już posłać ostrzeżenie do Głębokiego. Żydzi przebiegli! Jestem w obawie, żeby książek nie uprzętnęli, zostawiając nam dla obejrzenia tylko opatrzone pieczęcią cenzury. Żałuję, że kwaterunku Szczygielskiego do powrotu nie zostawiłem.

Był zajęty rachubą zysków, uplanowanych i co do rubla obliczonych zawczasu. Rachuba rzeczywiście omylić może. Miałem wielką ochotę przyczynić się do tego, wstrzymywała mnie jednak obawa stracenia posady.

— Widzę — odpowiedziałem — że pan, mimo niezaprzeczonych zdolności do praktyk sprawnikowskiego urzędu, nie masz jeszcze pewności w swoich planach. Ja... co innego: natura nie dała mi sprytu, lecz pan tę niedogodność potrafisz z czasem usunąć. Praktyka urabia ludzi. W tym razie za propinatora nie ręczę. Może to zrobić.

Sprawnik z przerażeniem obejrzał się na mnie.

— Więc i pan przypuszczasz, że może.

— Solidarność żydowska... a zresztą, oni spryt mają.

Biedni żydkowie — pomyślałem. Oby też Bóg natchnął tą domyślnością propinatora.

Dalej nie mogliśmy prowadzić o tem rozmowy, powóz otwarty — furman przeskadza. Z ruchów sprawnika odgadywałem, że chciałby w tej chwili mieć na skienienie balon albo kolej żelazną, żeby go nie uprzedził żydowski posłańiec. Ze względu na stan drogi gliniastej, wiosną i na roztopach jechaliśmy prędko, lecz konie koło Hatowczyzny już były pod pianą. Brańców kręcił się w powozie, nie mógł dosiedzieć i wołał na furmana »paganiaj!« »paszoł!« Na nic się to jednak nie zdało, prędzej jechać było niepodobieństwem: koła więzły, koniom się należał przystanek dla wysapania przynajmniej. Przeciw temu protestował mój zwierzchnik, lecz furman w Zaborzu stanął.

— Wiesz pan? — odezwał się sprawnik zafrasowany. Stacja pocztowa — weźmy świeże konie, a furman niech sobie jedzie do domu.

— Jak pan życzysz... niech sobie jedzie do domu.

Niepewność dręczyła Brańcowa: więcej nią był umęczony, niż konie drogą. Mój Boże!... Jakież to pragnienie tego rubla w człowieku!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AUSTRJA, NIEMCY I SŁOWIANIE

UWAGI POLITYCZNE.

(Przekład z rosyjskiego.)

(Dokończenie).

A Czechy i ich poglądy na dziwne przeciwieństwo w naszych stosunkach wewnętrznych? Żałuję, że ów profesor międzynarodowego prawa, o którego mowie, na rzecz konieczności dla Rosjan zgniecenia Polaków, wspominałem w pierwszej części tego artykułu, nie mógł, niewidzialny, być przytomnym rozmowie, jaka powstała po jego wyjściu, pomiędzy jego słuchaczami. Przekonałby się naocznie, że kazania tego rodzaju, są co najmniej niewłaściwe. „Za kogo nas biorą ci ludzie!“ — zawołał najpierwszy gospodarz, jak tylko drzwi za gościem się zamknęły. „Tak, — podchwycili inni, — nie muszą mieć wielkiego wyobrażenia o nas, a i o sobie także, jeżeli myślą oszukać kogokolwiek takimi mowami.“ — „Jakkolwiek nie tęgie położenie nasze w Austrii, ale jak można je porównać z położeniem Polaków w Rosji! Tam nawet prawosławnym Małorusinom zakazują mówić własnym językiem, a nas, katolików, rozumie się, zrównaliby w „prawach“ z Polakami. — „Nie, już my nie potrzebujemy takich praw, lepiej pozostaniemy jakoś przy obecnem bezprawiu. W każdym razie Habsburgi co innego“... Może kto powie, że to odosobnione i przytem czysto prywatne fakta. Nie, nie odosobnione i nie prywatne. Luby Rosjanin, który przybywszy do ziem słowiańskich, nie da się na pierwszym kroku poznać jako właściwy Rosjanin, to jest Wielko-Rosjanin, i zacznie przysłuchiwać się, a nie perorować, usłyszy to samo wszędzie. Nie odznaczające się szczególnym taktem zachowanie się naszych współrodaków, głównie orędowników słowiańskości en titre, dawno już nauczyło Słowian zamykać swą duszę i sznurować usta w obec każdego Rosjanina. Teraz, ażeby zajrzeć do tej duszy i usłyszeć słowo prawdy, trzeba albo przedstawić się za cudzoziemca albo dać się poznać jako wróg słowianofilów. Dziko to brzmi bardzo: ażeby wydostać szczere słowo o Słowian, trzeba się wystawić za wroga Słowiańszczyzny. Cóż robić jednak, małoż dziczyny i to lepszej jeszcze stworzyło nasze, właściwe nam życie.

Jeżeli teoria Słowianofilów i wewnętrzna nasza polityka odstraszały Słowian i popychały ich w stronę Habsburgów, to nie można powiedzieć, ażeby wiele zjawisk naszej polityki wewnętrznej nie sprowadzały tychże samych następstw. Trudność sprawy i nieprzyjazne warunki, przymuszały nas często uciekać się do takich środków, które nadawały polityce naszej pozór, jakobyśmy w Słowianach widzieli nie cel ale środek. Najwierniejsi, zdawałoby się, nasi stronnicy i przyjaciele, Czarnogórcy, dotychczas jeszcze z goryczą wspominają o terytorjum ustąpionem przez nich Austrii, na rozkaz Rosji.

Nie tylko tacy mężowie jak Bożydar Petrowicz, Stanko Radowicz i Maszo Wrbićca, lecz nawet prości, niepiśmienni wojacy, mówili nie raz przy mnie: „Tak, gdyby wtedy nie Rosja“... Serbowie z niemniejszą goryczą wspominają jak i dla czego nie dostał im się Nisz, za pierwszym razem, gdy zdobyli sobie względną niezawisłość. I nie to jedno tylko. Pamiętam, jak dwa lata temu, przejeżdżając przez Belgrad zdarzyło mi

się być u pewnego dygnitarza, stronnika „partji rosyjskiej“ w Serbji. W tym czasie Austrija silnie naciskała biedne księstwo, chcąc je przymusić do zawarcia niekorzystnych dlań warunków traktatu handlowego. Rzecz jasna, mowa wkrótce zwróciła się na to, co ma robić Serbja, z kąd oczekiwać pomocy. „Czy wiesz pan“ — rzekł do mnie mój współbiednik, i również jak Kukuljewicz, szepcząc mi do ucha, chociaż byliśmy sami i nawet w sąsiednich pokojach nie było żywej duszy: — „Czy wiesz pan, że Rosja dwa razy zgadzała się oddać nas Austrii, formalnym traktatem zgadzała się na przyłączenie Serbji do cesarstwa austriackiego“ — „Słyszałem, chociaż nie od Rosjan“ — „Z pewnością, my wiemy. No i cóż pan powiesz na to?“ — „Cóż mam powiedzieć? Według mnie, można powiedzieć tylko to: jeżeli dwa razy jedynie zgadzała się oddać, to na trzeci raz odda zupełnie, jeżeli będziecie wiecznie krępować politykę Rosji, wiecznie wywoływać komplikacje i starcia w takim czasie gdy ona potrzebuje pokroju. W tej chwili wojny prowadzić nie jesteśmy w stanie. Będziemy pobici, jeśli się teraz wdamy w walkę. Gdyby się tak zdarzyło że Rosja przymuszona byłaby kupić pokój za cenę ofiarowania Serbji, czy moglibyście nawet ją obwiniać?“ — „Tak, zapewne, koszula bliżej ciała — zrobilibyśmy toż samo.“ Lesz jestem przekonany, że bez względu na oddawaną przez siebie słusność tej argumentacji, w jego serbskiem sercu zagłuszała ją myśl, że „Rosja dwa razy oddawała Serbję Austrii“. A teraz, dla nikogo już niewątpliwe i nawet przez naszą dyplomację nie zaprzeczane istnienie pewnej misji hr. Sumarokowa — nasza zgoda na ustąpienie dla Austrii — Bośni? Kraj ten również ustąpiony był przez Rosję mimowoli; lecz czyż Słowianie mogą się z tem kiedykolwiek pogodzić?(!). Mogliby, gdyby ujrzeli jutrzeńkę nowego kierunku i w polityce i w społecznych przekonaniach naszych; do tego czasu, dokąd wszystko będzie szło po staremu, dokąd w polityce zewnętrznej zachodzić będą tajne, lecz dla nikogo, kto potrzebuje o tem wiedzieć, nie tajemnicze ugody, czemkolwiek bądź obwarunkowane; dokąd polityka wewnętrzna będzie szła w kierunku diametralnie przeciwnym tym zasadom, jakie ogłaszają się zagranicą; dokąd rosyjskie społeczeństwo, przez usta powag swoich, uczonych i publicystów, będzie żądało od Słowian to wyrzeczenia się wiary, to języka i narodowych właściwości swoich, — do tego czasu nie mamy kogo obwiniać i nie mamy co płakać na wrogie plany „Austriackiego“, lub jakiegokolwiek innego panslawizmu. Sami przygotowaliśmy dlań glebę, sami rzuciliśmy jego nasiona i teraz musimy zbierać owoce.

Na zakończenie przytoczę pokrótce, jeszcze jedną prywatną, ale charakterystyczną rozmowę. Było to w r. 1878, w Peszcie. Obiadowaliśmy w oddzielnej sali z delegatami chorwackimi i dalmatyńskimi. Według zwyczaju, mówiono o Słowianach, o Rosji i t. p. Współbiednicy moi, mało mnie jeszcze podówczas znający, na wrywki, jeden przed drugim wykładali przedemną swoje, jakoby, przekonania, które jednakże zanadto trąciły moskiewskim duchem, ażeby mogły być szczeremi w ustach przedstawicieli Zagrzebia, Raguzy i Zary. Mnie już nie po raz pierwszy zdarzało się rozmawiać z braćmi Słowianami i wiedziałem jak zabrać się do nich należy. „Za pozwoleniem, panowie — powie-

działem — przepraszam, że wam przerywam, lecz wszystko to, co wy mówicie, ja dawno już i bardziej szczegółowo czytałem w „Moskiewskich Wiedomościach“ i w innych naszych gazetach tegoż pokroju. Wybaczenie moją otwartość, lecz jestem zmuszony wam powiedzieć, że nie wierzę w waszą szczerość, przeciwnie, jestem przekonany, że mnie oszukujecie, sądząc, że ja podzielam poglądy p. Katkowa et cons“. Współbiednicy moi cokolwiek się zmieszali i osłupieli, przyznam się, na taką moją otwartość. — „Ależ pan jesteś Rosjaninem“, zauważał jeden z nich. — „Tak, Rosjaninem, tylko że nie stronnikiem „Moskiewskich Wiedomości“. Jeżeli chcecie, to wam powiem jak ja się zapatruję na sprawę Słowiańską. Wtedy przynajmniej nie będziemy potrzebowali udawać jeden przed drugim“. „Mów pan“. Zacząłem wykladać im mój pogląd, który nie wdając się w szczegóły, można ująć w niewiele wyrazów: bezwarunkowa uczciwość w stosunkach ze wszystkimi Słowianami, bezwarunkowa niezależność każdej, bez żadnego wyjątku, słowiańskiej narodowości w ogólnym związku wszystkich. Przytoczę tylko dwa szczegóły: pełna swoboda sumienia, i wzajemna nauka języków: przez Słowian — rosyjskiego, a przez Rosjan — czterech głównych słowiańskich: polskiego, czeskiego, serbskiego i bułgarskiego. W miarę tego, jak mówiłem, słuchacze moi, siedzący grupami przez całą długość ogromnego stołu, przysuwali się coraz to bliżej, coraz ciaśniej grupowali się koło mnie, i nakoniec, jeden z najstarszych delegatów, nie znający mnie dawniej, wstał, prawem starszeństwa, ujął mnie w ramiona i ze łzami w drżącym głosie powtarzał: „Mój drogi, mój drogi, niech cię Bóg błogosławi“. Jak długo będę żył jeszcze na świecie, nigdy nie zapomnę tego błogosławieństwa starego słowiańskiego patrioty... W gronie obecnych, był jeden nader czarno-żółty a nawet biał-zielono-czerwony (kolory madjar-skie) urzędnik. Bardzo uważnie mnie słuchał a potem rzekł: „Spełnienie się pańskiego programu, byłoby śmiercią Austrii“. — „Tak“, zauważył na to jeden z wpływowych chorwackich delegatów, człowiek znany ze swoich czarno-żółtych sympatyj: „Tak, byłoby to śmiercią Austrii, lecz wtedy rzeczywiście ani jeden Słowianin nie poszedłby z Niemcami przeciw Rosji“. — „A, nakoniec dotarłeś pan do jądra rzeczy. Ponieważ pan sam to podniósł, to bądź i dalej równie szczerym i powiedz: a teraz pójdziecie?“ — „Teraz pójdziemy. Bez zapału, bez przyjemności będziemy się bić, nie tak jak byśmy się bili z Rosjanami przeciw Madjarom, naprzykład, ale bronii nie złożymy, o tem nie ma mowy; pójdziemy wszyscy. Nie tylko my sami, Chorwaci, ale i wszyscy, i Czechy także pójdą, bez względu na swoje kokietowanie z Moskwą.“ — „No, a pan, jakże?“ zwróciłem się do delegata dalmatyńskiego. — „A cóż mamy robić, jeżeli dla nas w teraźniejszej Rosji miejsca nie ma“, odpowiedział. — „A z pańskim programem i ja bym nie poszedł“, wesoło śmiejąc się, zawołał ogromnego wzrostu, pełny, czerwonołycy pater, również delegat...

W trzy dni potem, ośmiu z najbardziej wpływowych posłów, zaprosiło mnie na obiad. My, w ogóle, obiadowaliśmy zawsze razem, lecz po niemiecku, każdy na swój rachunek, teraz zaś mnie zapraszali. Obiad zastawiono nader wykwintny, wina nieporównane, i kiedy podano czarną kawę i służba odeszła, amfitrjoni moi,

usiadłszy blisko w około mnie, przystąpili do istotnego celu całej tej biesiady. „Powiedz nam pan — zapytali, to, coś pan wtenczas mówił, czy to pański pogląd osobisty, osobisty program, czy podziela go u was którekolwiek ze stronictw?”...

N. S.

KRONIKA NAUKOWA

przez

B. ABAKANOWICZA.

Wszystkie wielkie wynalazki ostatnich czasów, uderzają nas przede wszystkim swoją prostotą. Przypatrując się im, mimowolnie wołamy: cóż to za rzecz dziwna, że dotychczas nikt tego nie dostrzegł! A jednak w tej właśnie prostocie tkwi genialność, i jeżeli rzucimy okiem na całą historję odkryć i wynalazków, to przekonamy się, że właściwie tylko proste pomysły, utrwaliły się i ludzkość naprzód w cywilizacji posunęły.

Opisywaliśmy fotofon Bella w jego pierwotnej formie. Był bardzo prosty i łatwy do zbudowania. Dziś jest jeszcze prostszym i, jak się zdaje, dalej prostota nie może być posunięta.

Bell i Tainter wykazali, że wszystkie prawie ciała wydają dźwięki, skoro tylko na nie padają promienie światła, przerywane albo też zmieniające szybko swe natężenie.

Kawałek blachy cynkowej, albo jakiegokolwiek innego ciała, umieszczony w promieniu słonecznym, przerywanym, dajmy na to 400 razy na sekundę, wydawał ton odpowiadający 400 drganiom.

Bell wyraził nadzieję, że z czasem będzie mógł tą prostą drogą, bez pośrednictwa telefonów i elektryczności, przesyłać po promieniu światła ludzką mowę. I oto okazało się, że nadzieja nie była wcale płonną, gdyż dziś przyrząd taki jest zbudowany.

Nie masz nic prostszego nad ten nowy fotofon.

Przyrząd wysyłający świetną depezę, jest zwykłym, cienkim, posrebrzanym zwierciadłem, od którego odbite promienie słoneczne lub też lampy elektrycznej przenoszą się do następnej stacji. Odbita wiązka promieni ma mniej więcej stałe natężenie w zwykłych warunkach. Lecz gdy zaczniemy mówić w pobliżu zwierciadła, wtedy powierzchnia jego wygina się pod działaniem dźwięcznych fal, wychodzących z ust naszych i promienie przesyłane do następnej stacji są drżące, odpowiednio do drgań naszej mowy.

Jak widzieliśmy, wysyłacz jest takim samym jak w dawniejszym fotofonie.

Odbieracz jest natomiast daleko prostszym. Składa się z kawałka gazy, napiętej na otworze trąbki akustycznej, którą się do ucha przykładają. Gaza ta jest powleczonej sadzą na powierzchni, zwróconej ku przesyłanym ze stacji pierwszej promieniom. Oto cały przyrząd. Z jednej strony mówi się do zwierciadła, z drugiej, z gazy wychodzi dokładne odtworzenie tej mowy.

Próby wykazały, że wszystkie prawie ciała posiadają takie fotofoniczne własności i że można je zmusić do mówienia, umieszczając w odpowiednich warunkach. Najlepszymi są ciała w sta-

nie wielkiego rozdrobnienia, gąbczaste, które, jak sądzę, zawierają w porach wielką ilość powietrza.

Za pomocą nowego fotofonu można było rozmawiać na odległość 40 metrów.

Zadziwiającem jest spotkanie się jednocześnie dwóch wynalazców na jednym i tem samym polu. Znany francuski uczoney p. Mercadier, który ju oddawna zajmuje się opracowaniem naukowym zjawisk t. z. radiofonji, wynalazł niezależnie od Bella fotofon, działający zupełnie tak samo i w takichże warunkach. Widocznie odkrycie zawieszonem już było w powietrzu.

Teraz brakuje w tym szeregu tylko jednej rzeczy: wynalezienia przyrządu, za pomocą którego dokładnie możnaby *widzieć* po drucie z odległości. O próbach w tej mierze czynionych mówiliśmy poprzednio. Po powodzeniach ostatnich możemy mieć nadzieję, że to zadanie zostanie także z powodzeniem rozwiązane. Obok nowego fotofonu, przedstawił jednocześnie Bell przyrząd oryginalnego pomysłu, który nazwał *spektrofonem*, a o którym pomówimy w przyszłości, gdy nadejdą bliższe szczegóły. Dziś tylko w ogólnym zarysie podajemy jego przeznaczenie. Wiadomo, że za pomocą spektroskopu możemy poznać naturę chemiczną ciał rozgrzanych do takiego stopnia, iż światło z siebie wydają. Na tej drodze poznano skład chemiczny ciał, rozsianych na sklepieniu niebieskiem. Spektrofon Bella daje możliwość poznania składu ciał, słuchając dźwięków, jakie wydają widma ich w czasie świecenia. Jest to pomysł nowy i śmiały, do którego kiedyś wrócimy.

Nie potrzebujemy zbyt oddalać się od przedmiotu tylko co poruszonego, żeby się zająć różnymi pomysłami tak zwanych *telektroskopów*. Najśmielsze pomysły wynalazców zostawały w ostatnich latach urzeczywistnione. Bell zbudował telefon, przenoszący po drucie telegraficznym z błyskawiczną szybkością mowę ludzką na ogromne odległości. Edison kazał w swym fonografie powtarzać blaszce metalowej dźwięki ludzkiej mowy. Bell i Tainter znaleźli sposób przesyłania dźwięków po promieniu światła. Dla czegoż nie miałby powstać wynalazca, który zbuduje przyrząd taki, że po drucie przesyłać będzie można obrazy i na stacji odległej widzieć rzeczy, dziejące się o kilka lub kilkadziesiąt mil odległości, na wskrósć przez góry i lasy? Że pomysł taki nie jest czczem marzeniem, dowodzi znaczna ilość badaczy i wynalazców, którzy się do pracy w tym kierunku rzucili. Między innymi, sam twórca telefonu, Bell, od kilku lat pracuje nad zbudowaniem telektroskopu, — taką bowiem barbarzyńsko brzmiącą nazwę dano temu przyrządowi, który w formie ostatecznej dopiero ma być wynalezionym. Oprócz Bella, Böhm w Austrii, Johnston w Ameryce robili liczne próby, których wynikiem jest ten fakt, że zbudowanie telektroskopu nie jest wcale niemożliwym.

Wszystkie dotychczas obmyślane przyrządy są w ogólnym zarysie bardzo do siebie podobne. Opierają się na naturze *selenu*, pierwiastku, który w swoich własnościach wielce jest podobnym do siarki zwyczajnej. Ma jednak tę odrębność, że bardzo jest czułym na działanie światła. Jeżeli weźmiemy kawałek selenu odpowiednio przygotowanego i zechcemy przezeń przepuszczać prąd elektryczny, to się okaże, że jest bardzo złym przewodnikiem, gdy te doświadczenia robić będziemy w ciemności. Gdy jednak na selen za-

cznie padać silne światło, to przewodnictwo jego stanie się lepszem i w ogóle od siły padającego światła zależy stopień przewodnictwa. Własność tę zużytkował Bell w fotofonie.

Ażeby ją zastosować w telektroskopie, używano kombinacji, którą w zarysie opisujemy. I tu jak w fotofonie, różną jest budowa wysyłacza i odbieracza.

Wysyłacz jest tablicą, pokratkowaną jak szachownica, w drobne kratki, z kawałków odosobnionych od siebie selenu. Do każdej kostki z selenu idzie drut z baterji i kończy się przy powierzchni. Z drugiej strony drut wychodzi i przebiega aż do stacji odbierającej. Prąd z baterji musi przejść przez kostkę selenową, zanim się dostanie do drutu, wiodącego ku odbieraczowi. Ile kostek, tyle jest drutów łączących obie stacje. Widzimy już ztąd, jak dotychczasowe pomysły są skomplikowane.

Przedstawmy sobie teraz działanie wysyłacza. Przypuśćmy, że na szachownicę z selenowych kostek pada jakiś obraz wyraźnie zarysowany, zajmujący przestrzeń kilkunastu kratek. Przypuśćmy, że za pomocą soczewki zebraliśmy na powierzchni wysyłacza obraz krzyża. Kostki selenu, na które ten obraz upadnie, staną się pod działaniem światła lepszymi przewodnikami elektryczności i przepuszczą po swoich drutach prądy, które podążą ku stacji odbierającej.

Tam chodzi o odtworzenie widoczne kształtu krzyża. Otóż dotychczas nie zbudowano odbieracza, któryby te kształty oddawał w sposób wyraźny i podobny. Otrzymano tylko coś odlegle pokrewnego. Przyrząd odbierający Böhma składał się z szachownicy, podobnej co do rozmiarów i kształtów do tablicy wysyłacza, jej kwadraty jednak nie były selenowe, lecz stanowiły rodzaj kłapek na zawiasach, z których każda się otwierała, skoro tylko do niej przybiegł po drucie odpowiednim prąd elektryczny. Tylko te druty przeprowadzały prądy, które wychodziły z kostek selenowych wysyłacza, na które padało światło, a ponieważ w danym wypadku kostki te leżały w postaci krzyża, więc i szeregi otworzonych kłapek przyjęły taką postać.

Oczywiście podobieństwo obrazów tą drogą otrzymane, może być tylko bardzo dalekiem. Nie można mieć ani odtworzenia krzywych linii, ani ostrych konturów, nie mówiąc już o barwach. Otrzymuje się obrazy takie, jakiebyśmy ułożyli sami, gdybyśmy zechcieli z kostek równych rozmiarów kwadratowych, białych i czarnych, ułożyć rysunek widzianych przez nas przedmiotów.

Trzeba jednak pamiętać, że to są pierwsze kroki i że telefon w pierwotnym swym kształcie nie o wiele lepiej wyglądał. Za lat parę będziemy już może w stanie nie tylko słyszeć głos odległej o mil kilka osoby, ale i widzieć jej twarz i ruchy. Wynalazcy idą pospieszonym krokiem!

Gdyby Niepce de St. Victor i Daguerre, twórcy sztuki fotograficznej, znajdowali się jeszcze przy życiu, należałoby do najszcześniejszych ludzi tego świata. Dzieło ich płodnego umysłu dojrzało, rozrosło się potężnie i tak rozpowszechniło, że nie ma zakątka najciemniejszego na świecie, gdzieby nie posługiwano się ich wynalazkiem. Stał się on potrzebą codziennego życia. Dziś jeszcze większe otwiera się dla fotografii pole zastosowań. Wyświadcza ona nam usługi tak doniosłe, że w wielu razach nie wiedzianoby nawet, jak się bez niej obejść można. Dość jest zwiedzić ob-

serwatorjum astronomji fizycznej w Meudon pod Paryżem, aby się o tem przekonać; dość zobaczyć przepysne fotografie tarczy słonecznej, wyskoków w czasie zaćmienia księżyca, mgławic, tak delikatne, tak wiernie oddające najdrobniejsze zarysy i odcienia, aby mieć wyobrażenie o wielkich rezultatach, do których z czasem na tem polu dojdziemy.

Czyż wynalazcy mogliby mieć większą nagrodę nad tę, że myśl ich przyjęła się w życiu powszednim, że nauka takie z niej ciągnie korzyści i że właśnie we Francji, w ich rodzinnym kraju, dosięgła najwyższego rozwoju?

Sztuka fotograficzna daje badaczom sposób najwierniejszego odtwarzania zjawisk w przyrodzie. Promienie światła są rysownikami wierniejszymi, niż wszelka ręka ludzka. W ścisłych metodach nauki, ta wierność w zdejmnowaniu obrazów jest właśnie powodem tak obszernych zastosowań.

(Dokończenie nastąpi.)

Z NIEDRUKOWANYCH POEZIJ ANTONIEGO GORECKIEGO *)

*Do pewnej Pani co się śmiała z Poety
zająkliwego w Warszawie.*

Zostanie w tych tu wierszach dwóch wad pamięć wieczna:
Ja byłem zająkliwy, a Pani niegrzeczna;
I rzekną potomkowie, czyniąc porównanie:
Ze tam winna natura, tu złe wychowanie.

Odpis przez pocztę do Wiednia.

Błędliwe, choć dowcipne często mądrych zdanie,
Gdyż śmiech płodem natury, jak i zająkanie,
Kto zaś wie co jest grzeczność, a pici słabej łaje,
Dobrego wychowania dowodów nie daje.

Odpis Goreckiego z Wiednia.

Za dobry wiersz nie płacą, jam za ladajaki
Czterdzieści osiem grajcarów zapłacił,
Bodajby wszystkie kadencje stracił,
Kto na wydatek naraził mnie taki;
Będę po szkodzie drugi raz ostróżny,
Lecz żebym nie był w odpowiedziach dłużny,
I żebym dobre dowiódł wychowanie,
Posyłam franko moje odpisanie:
Komu wyszydzać cudze wady jest przyjemnem,
Niechaj się nie uraża wyśmianiem wzajemnem;
Lecz co było, to przeszło, dajmy pokój sobie,
Można mówić: z tryumfem wyszły strony obie,
Pochowajmy więc ostre dowcipu sztylety,
Grzeczność, skromność, łagodność, to jest broń kobiety.
Niech ta sama broń goi, co tak srodze rani,
Wierszem obraził, wierszem przeproszam Cię Pani.
Polką jesteś! ztąd dobre nadzieje się tworzą;
Nigdy Polka nie karze tych, co się pokorzą.

Antoni Gorecki.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Prawdziwy sezon poziomkowy już się kończy — cisza letnia usposabiająca do miłego odpoczynku w cieniu drzew, powoli ogarnia wszystkich — a myśli włoką się leniwo jak jesienne

obłoki, którym nigdy nie jest pilno. Podczas upałów u nas, podobnie jak w Neapolu, bystrzejszy prąd życia zastyga, a jeżeli się o czem jeszcze myśli — to chyba o niebieskich migdałach... A tych migdałków we Lwowie nie brakuje i dziwna rzecz, iż pomimo haniebnie brzydkich strojów, jakie nam Francja teraz przysyła — piękność niewieścia nie wiele na tem traci. — Pod tym względem szanowna Rzeczpospolita panna Gambetty nie może się poszczycić, iż wyrobiła gust lepszy, jakby się po wolnych obywatelach i obywatelkach spodziewać należało, jeżeli więc trzyma dotąd berło mody, — to tylko panowanie takie dawniejszej tradycji zawdzięcza. Nie trzeba być specjalistą tualetowym, żeby spojrzawszy na dziwaczny strój dzisiejszy, wrzucić tylko ramionami ze zdziwienia — jak mogą panie w ten sposób szpecić własne postacie. Te wązkie opięte suknie z jakimiś wypuszczonymi z tyłu ogonami, podpięcia, falbany, kaptury poumieszczane bez żadnej symetrii, gdzie bądź i jak bądź, przywodzą na pamięć dzieci, które dopadłszy w garderobie strojów matki, kładą wszystko na siebie, wielce uradowane, że tak w nich pięknie wyglądają. Dziś, nawet marzyć niepodobna o jakimś wyzwoleńiu się z niewoli paryskiej, lecz czyby nie warto popróbować, choćby małej modyfikacji, w tych dziwolągach mody, które nam z taką arogancją są narzucane. O ile słyszeliśmy, to szanowni nauczyciele nasi, śmieją się po cichu z naszej dobroduszej łatwowierności, z jaką ich wyrocnie przyjmujemy i podobno umyślnie tworzą takie cudaki dla nas, gdy przeciwnie same Francuzki, zupełnie się inaczej ubierają... Tymczasem u nas jakiegobądź odstąpienie od modelu paryskiego uważa się już za ciężki grzech śmiertelny, a przeciwnie rzeczy opatrzone stemplem francuskim bałwochwalczo znajdują natychmiastowe uznanie i pokup. Kapelusze paryski, suknie paryska, wstążka, koronka i cobądź aby tylko paryskie, z zawiązanymi oczyma przyjmuje się za dobre, z czego też tworzą się dziwolągi na podobieństwo owych dzieci poprzebieranych w garderobie... Wartoby przeto, aby nasze panie, utrzymujące magazyny, zastanowiły się choć raz nad tą bezmyślną manją naśladownictwa, a gdyby jeszcze szanowne damy mające pretensje przodowania na tem polu, pomogły im swoim gustem i informacją, opartą na uznanych już zasadach estetyki, grze kolorów i innych warunkach, odpowiednich potrzebom miejscowego klimatu, moglibyśmy potrochu stworzyć własne mody.

Gdy miastowe życie we Lwowie drzemie, pan dr. Ochorowicz doświadczeniami swemi nad badaniem zjawisk snu magnetycznego i hipnotyzmu, stara się przedstawić Donatego sprowadzić na drogę naukową. I rzeczywiście pod tym względem prześcignął nawet mistrza, bo na ostatnim posiedzeniu Tow. przyrodników im. Kopernika nie tylko powtarzał wszystkie jego experimenta, ale posunął się dalej, znieczulając pewne części ciała, na przykład rękę, gdy cała osoba pacjenta zachowywała wszelką przytomności wiedzę.

Po tak sumiennym i z całym zapałem oddającym się badaniom naukowym pracownikowi, spodziewać się można doniosłych dla tej, dotąd pół nauki, a pół cudowności rezultatów. Magnetyzm z dziedziny szarlatanerii, którą mu przypisywano, przechodzi już w objaw prawdy naukowej, mającej wielką przyszłość, choćby tylko w zastosowaniach medycznych.

Na arenie donioślejszych działań dla kraju i naszej galicyjskiej przyszłości znać przyspieszony ruch. Kolej Jarosławsko-Sokalską można uważać prawie za pewną; — na zbadanie terenu przyszłej linii transwersalnej wyjechała już na grunt komisja, a tyle oczekiwany Bank rolniczy w zeszłym tygodniu z projektów przeszedł w epokę faktów. — Nie mamy zamiaru krytykowania przed czasem jeszcze w pieluchach będącego niemowlectwa, lecz zdaje nam się, że dotąd za mało zebrano kapitału do należytego funkcjonowania tego rodzaju instytucji. Z drugiej znów strony za wiele ustanowiono członków rady nadzorczej, bo aż piętnastu. Nie zdaje nam się również odpowiedniemi wybranie do dyrekcji aż dwóch spedytorów utrzymujących we Lwowie kantory spedycyjne. Czyż pomiędzy przyszłymi spółnikami nowego Banku nie było kogoś dającego większe kwalifikacje na dyrektora niż obcy nam pochodzeniem właściciel domów spedycyjnych?... Ostrzegamy, że powodzenie domów komisowych - rolniczych jest bardzo śliskie; Kongresówka, Poznańskie, a nawet najbliższy nam Kraków ze swoim Bankiem dla handlu i przemysłu, są dotykającym dowodem, że do takich rzeczy oprócz dobrych chęci i kapitałów, potrzeba jeszcze gruntownych wiadomości handlowych, opartych na doświadczeniu, praktyce i tak uporeczywej wytrwałości, jaką się odznacza dyrektor Spółki Tarnopolskiej. — Czas prób powinienby u nas już minąć, bo każde niepowodzenie dobija tylko zaufanie kapitalistów. Nie przestajemy zatem nawoływać: ostrożnie i rozważnie panowie!

URYWEK Z PODRÓŻY PO NORWEGJI

III.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

(Ciąg dalszy)

Chrystjanja.

IV.

Treść: Norwęgskie deszcze. — Kościoły w Chrystjanji. — Akerskirke. — Spotkanie z prof. G. — Akademia sztuk i wyższych rzemiosł. — Malarstwo w Norwegji. — Dahl, Eckersberg, Tydemand i inni. — Rzeźbiarstwo. — Muzeum sztuk i przemysłu i muzeum rzeźb. — Eugenia Stiftelse. — Zadziwiająca ofiarność ogółu. — W czem Norwegczycy są wyżsi od klasycznych Rzymian i Greków? — Gimnazjum handlowe. — Fängsels-Telskal. — Manja pomników. — Dom sierot. — Na ementarzu. — Pomnik Wergelanda. — Państwowa religja. — Norwęski liberalizm. — Przyczyny sprzeczności.

Dzień był dżdżysty i ponury. Gęste chmury zalegały niebo, sącząc z siebie ów drobny deszczyk, do którego już zresztą nawykli mieszkańcy tutejszych gór. Chmury te bladą jakąś powłoką zasnuwają niebo, to znów gęstnieją nagle w czarne masy, ziejąc piorunami i nawałnicą. Ale to trwa tylko chwilę jedną, poczem znów przerzedzone obłoki ze zwykłą ospałością suną po niebieskich obszarach. Sine wody fiordu burzą się i rzucają gwałtowniej do brzegów, a malownicze kontury gór ścierają się w dziwaczny jakąś bryłę, która to przebija swemi szczyty gęste obłoków zasłony, to znów ginie w ogólnej bezbarwności natury. W około tedy smutno i na duszy nie weselej.

Otulony gumowym płaszczem, jedynym w tym razie pocieszycielem, błędziłem po ulicach

*) W zbiorze pism Goreckiego wydanym w Lipsku w r. 1878, znajduje się na str. 235 jedynie pierwszy czterowiersz, zatytułowany: Do ... 1816. Reszty brak.

Chrystjanji. Ciche zwykle ulice, robiły wtedy wrażenie wielkiego grobu. A jednak byłem w jednej z owych chwil, kiedy to osamotniony na obczyźnie turysta uczuwa nagle jakiś *apetitus societatis*. W Londynie siada się w braku znajomych do jakiego podziemnego „railway“, w Szkocji odczytuje się biblię, w Paryżu bieży się do jakiej kawiarni, w Chrystjanji nie pozostawało mi nic innego, jak pójść odwiedzić jej kościoły.

Unikając tedy deszczu, wpadłem pod rynnę. O Lutrze! jakżeż surowo zemściło się niebo nad twymi wyznawcami. Nigdy nie miałem przekonania do protestanckich kościołów, ale w tej chwili czułem, jak mnie grobowe ich tchnienie zabija. Jakżeż bo żywo przypominają one suchy racjonalizm niemieckich filozofów. Oddycha się bowiem w nich jakąś zabijającą atmosferą nudów i doktorskiej powagi. Brakło zresztą tutejszym kościołom genialnego Thorwaldsena, któryby swoim artystem zdołał im nadać choćby cząstkę owych powabów, jakie posiada kopenhagska Fruenkirke. Błądziłem tedy od Frelser do Akerskirke, a ztamtąd do ruin Marikirke. Ubóstwo wewnętrzne zastępuje zresztą ciekawa architektura tutejszych kościołów. Chrystjanji brak, co prawda, owych „drązkowych“ kościołów, jakie widzi się jeszcze na północy i w Hiterdal, ale żywo przechowała ona jeszcze owe dziwaczne pomysły, w jakich lubowali się samorodni artyści Norwegji. Spotyka się tu tedy między innymi owe kościoły z ogromnymi wieżami, których kilka skrzydeł przecina się zwykle w formie krzyża; kilka z tych kościołów uległo pożarom, ale postarano się odbudować je w dawnym stylu.

W Akerskirke zatrzymuje się czas dłuższy. Dziwne bo wrażenie robi ta bazylika na wysokości 500 stóp nad morzem, w której tak żywo splotły się style: bizantyński z gotyckim, widocznym znów w owych trzech ogromnych okrętach wspartych szeregiem kolumn łukowych. Zaczątki jej datują jeszcze z XII wieku.

Wyszędłszy z kościoła znudzony i smutny, otuliłem się silniej w płaszcz, z którego ciekły całe potoki wody i posunąłem się ku Akersgade. Na skrawku ulicy zatrzymał mnie ktoś nagle za rękę. Odwróciwszy się, spostrzegłem znajomego mi profesora G.

— Pan tutaj o tej porze?...

— Dodaj pan niemożliwie znudzony.

— Otrząśnij pan tedy ze siebie smutek i obfite krople wody i pójdź przyjrzeć się naszej sztuce.

Profesor dostrzegł widocznie ironiczny uśmiech, z jakim przyjąłem tę propozycję, gdyż po chwili dodał: Wydaje się panu widocznie dziwnem zestawienie sztuki z Chrystjanją, a jednak wierzaj pan, że nas niesłusznie oczerniają na tym punkcie. Porównaj pan nasze środki i czyny, a przekonasz się pan, że robimy olbrzymie na tem polu postępy. Rozpocznijmy więc nasz pogląd od owego gmachu, jaki pan widzisz naprzeciwko.

— To...

— Akademia sztuk i wyższych rzemiosł. Zbudowano ją w r. 1875. Storting uchwalił niezależnie od kapitałów ofiarowanych na budowę, jeszcze roczne subsydjum w sumie około 60,000 koron. Chłopi zebrali znów między sobą jednorazowo około 15,000 koron, dzisiaj ma tedy szkoła być najzupełniej zapewniona. Liczy ona około 200 uczniów i 24 profesorów. Jest tam i spe-

cialna szkoła rysunkowa i właściwa szkoła rzemiosł: stolarstwa i kowalstwa, a na czele tego wszystkiego oddziały: malarstwa, rzeźby i architektury. Ale otóż skorzystajmy z otwartej dziś galerji obrazów i wejdźmy na chwilę przyjrzeć się naszym mistrzom.

W kilkunastu salach zawieszonych było kilkaset płócien Cappelna, Tidemanda, Dahla, Gudęgo, Bodonia, Müllera i wielu podrzędniejszych tutejszych malarzy. Powiedziałbym, że to nie galerja, ale raczej specjalny jej dział pejzażowego malarstwa. Wszystkie prawie siły skupiły się na tem polu. Ależ za to jakież artystyczne wspaniałostwo w tych obrazach z życia fiordów i gór! Jakie bogactwo plastyki i kolorytu. Godzinami całemi wpatrywać się można w tydemandowski „Hardanfer“. Listki zda się kołyszą wiatrów powiewem, słychać szum staczających się z wysokości wodospadów, a ciemne lasy mruczą, zdaje się tajemniczym szelestem. Burze morskie drżą tutaj całą siłą morskiego gniewu. Fale piętrzą się tak naturalnie, że oczekujesz, jak lada chwilę spotęgowane wiatrów siłą, zatopią drobny okręt, który zwinąwszy żagle, buja niby drobna skorupa po wód powierzchni. Realizm tutejszej szkoły nie wyklucza bynajmniej jakiejś poetycznej drobnozłoty i delikatności pendzla. Z jakąż bo pieczołową starannością oddają tutejsi malarze owe drobne mgły, które zwieszając się jedne na drugich, przepuszczają jakieś wybledzone słoneczne promienie. To eckersbergerowska „niemoc natury“. Całą mocą piękności kontrastów odbijają znów od tego jakiś obraz groźnych skał, okalających północne fiordy. Z jakąż ścisłością oddane są kontury gór! Linje zdają się być rzeźbione. Widz odczuwa cały napór morza na owe kamieniste masy, jakimi wydymają się przedzierające do jego głębin góry. Widzi się ów kamień, staczający się z pod nóg górala i drżysz o los biedaka, który lada chwila stoczy się do morza. Ale to góral z górali. — Uśmiech igra mu na twarzy. Z jaką pewnością opiera się on na swym kijku i przygląda szumiącym u dołu falom. Wzrok jego przedarł się aż do drobnej łódki, która kołysana wiatrem, rzuca się w różne strony, gdy on spokojnie zabiera się do dalszej drogi.

— Oto nasze herby — zdawał się mówić spoglądający na mnie w tej chwili profesor. Nie zapomnij tylko pan, że to wszystko początki. Malarstwo rozwija się teraz u nas z gwałtowną siłą. Genjusze wyrastają niby za czasów klasycznej Grecji.

Tu profesor wymienił mi kilka nazwisk.

— Niech pana nie zadziwia zresztą ubóstwo naszego historycznego malarstwa. Nasi dziejopisarze i dramaturgowie odgrzebują dopiero teraz kopalnie naszej przeszłości, a za ich śladem porzną pewnie wkrótce i nasi malarze...

— A rzeźba?...

— Mamy tu kilka duńskich robót Jerichau Bissena, ale oryginalnych bardzo mało. Temu lat trzy, kilkunastu kupców nabyło w podarku dla muzeum robotę Borchy „Córka Jętego“ — a w ogóle zastój jeszcze na tem polu ogromny. Przystąpiono już zresztą do budowy „muzeum rzeźb“...

— Na które poczciwy wasz storting znów zaofiarował jaką setkę tysięcy koron.

— Otóż mylisz się pan — to już nie storting, ale jeden z naszych banków ofiarował nie

sto ale dwieście tysięcy koron na ten cel, a że w dodatku zapanowała u nas manja stawiania pomników, na które składa się na wysięgi ludność wiejska z miejską, a że i talentów nam nie zbraknie, spoglądamy tedy z ufnością i na przyszłość naszego rzeźbiarstwa. Niezależnie znów od tego powstało, dzięki inicjatywie prywatnej, „Muzeum sztuki i przemysłu“, które znakomicie wpłynie na podniesienie poziomu estetycznego wykształcenia. Jest tam bowiem i specjalny oddział wzorów i dział historyczny i przemysł ludowy.

O kilkanaście kroków dalej profesor zatrzymał mnie przed jednym z domów.

— Oto „Eugenia Stiftelse“, zakład o tyle pożyteczny, o ile interesujący. Wychowuje on dziewczęta od lat 8 do 16 na dobre służące. Od chwili, kiedy go założono, a będzie już temu z lat pięćdziesiąt, wydał on już przeszło z jakie tysiąc służących na własną i naszych gospodyń pociechę.

— A komuż zawdzięczacie jego założenie?...

— Około r. 1825 kilka osób prywatnych podjęło inicjatywę, w rok potem złożyli pieniądze, a w cztery stanął zakład gotowy do użytku publicznego.

Długo jeszcze spacerowaliśmy po mieście, a poczciwy profesor zatrzymywał mnie nieustannie pokazując osobliwości miejscowe.

— Nie mamy tu, co prawda, żadnych ciekawych, gmachów publicznych ależ za to ileż tu u nas nie znanych jeszcze gdzieindziej instytucyj. A przytem, przyznaj pan, że to wszystko robimy skromnymi naszymi środkami i to w mieście liczącem zaledwie 100.000 mieszkańców. Nie posądzaj mnie pan o zarozumiałość narodową, ale kiedy patrzę na naszą ofiarność publiczną, mimowolnie przenoszę się myślą w czasy Rzymu i Grecji i porównyując, przyznaję memu narodowi pewną przewagę. Wyzwoliwszy bowiem jednostkę z państwowych, nie osłabiliśmy jednak w niczem owego przywiązania do ojczyzny, jakim błyszczą wieki klasycyzmu.

— Oto patrz pan — rzekł, zatrzymując mnie profesor przed jedną z budowli — to gimnazjum handlowe, na które być może w obec ubóstwa skarbu, przyszłoby nam długo czekać, ale oto mieszkańcy Chrystjanji zebrali między sobą sumę 150.000 koron i otóż powstało gimnazjum z równą prędkością, z jaką się na nie złożono.

— A co to oznacza? — spytałem profesora, wskazując na ogromny napis „Tengsels-Selskal.“

— To bióra Towarzystwa pomocy dla nieszczęśliwców wypuszczonych z więzień. Wyszukują dla nich pracę, mieszkanie, dają im czasowe zapomogi w pieniądzach i odzieży.

— A to znów?...

— To pomnik, wystawiony kompozytorowi Kjerulfowi. Mówiłem panu o owej grasującej u nas manii nagradzania zasług. Pomniki tedy wyrastają niby grzyby po deszczu. Stawiamy je tymczasowo geniuszom i ludziom zasługi, później wystawimy znów ogromny monument obecnemu pokoleniu norweskigo narodu i ludności Chrystjanji...

I poczciwy profesor śmiał się i zacierał ręce, ciesząc się owym podziwem, a może i nadzieją, że i jemu jakiś kamyczek przypadnie może kiedyś w udziale.

Przeszliśmy znowu koło Ankerowskiego „Domu sierot“. Nosi on nazwisko swego założyciela który wyłącznie własnymi środkami zbu-

dował ten zakład, wychowujący swym kosztem 14 sierot do 16 roku życia.

Naprzeciwno widać śliczny cmentarz, „vor Falser Gravelund“. Mnóstwo pomników z norweskiego granitu ślicznie odbija od masy drzew i bogatej w okolo roślinności. Zdala widniała śliczna kapliczka, ocieniona bluszczem. Z wysokości jakich 100 stóp panowała ona nad całym otoczeniem. Drzwi w pół otwarte pozwalały dojrzeć biust stojący w pośrodku.

Zbliżyliśmy się do niego nieznacznie, a profesor uchyliwszy kapelusza, dodał:

— To pomnik naszego poety i agitatora ludowego, Wergelanda. Gorący patriota był zarazem przyjacielem całej ludzkości. Pierwszy podniósł on głos w sprawie żydów, którym do roku 1851 pobyt w Norwegii był wzbronionym. Wdzięczni żydzi ze Sztokholmu, Kopenhagi i szczupła ich garstka, przebywająca w Chrystjanji, złożyli się na ten wspaniały pomnik, świadczący zarówno dobrze tak o zasługach Wergelanda jak i o pamięci tych, którzy mu ten pomnik wystawili.

Dziwnym bo może zbiegiem okoliczności w Norwegii istnieje dotychczas „państwowa“ religja. Wrzód na najzdrowszym z europejsko-państwowych organizmów! Fakt jest jednak tylko o tyle dziwnym, o ile naturalnemi warunkujące go przyczyny.

To pozostałość przeszłości! Nikt nie chce się wykołcić z dawnego toru, jeżeli mu biedz po nim wygodnie. Konstytucja norweską datuje od 1814 r. i odtąd nie uległa ona prawie zmianie i to co wtedy było naturalnem, dziś wygląda na anomalję. Ale jeżeli konstytucja norweską nie odpowiada na tym punkcie najskromniejszym wymaganiom liberalizmu, to za to życie odpowiada najwybitniejszym jego pragnieniom. Przekonywają zresztą o tem cyfry. W r. 1877 mieszkało w Norwegii 1100 mormonów, 1900 metodystów, 400 baptystów i 33 żydów.

A ograniczenia...

Pozostają ograniczeniami na papierze. Toć wiadomo zresztą, że w chwili, kiedy kościół katolicki był jeszcze nieuznanym w Anglii, korzystał on tam z większych przywilejów niż we Francji*). Nie są zresztą od takich sprzeczności wolne i najliberalniejsze konstytucje szwajcarskie. Konstytucja szwajcarskich Rodów mówi wyraźnie o panującej religji luterańskiej, o sądach moralności (Ehegäumer), złożonych z pastorów itp. A jednak tak tam jak w Norwegii, różnice religijne nie przedostają się do życia rzeczywistego z poza konstytucyjnych pergaminów. Z postępem bowiem życia litery martwieją. Pozostają one niby stara odzież, którą przechowuje się w szafach. Długie noszenie do niej przyzwyczajają a oddane usługi przywiązują. Ale to jeszcze nie pociąga za sobą tego, by się w nich kiedykolwiek publicznie pokazywało.

V.

Treść: Tivoli w Chrystjanji. — Specjalne cukiernie i restauracje dla kobiet. — Brak wesołości. — Dziwny pomysł Chrystjō'a. — Chrystjanja w nocy.

Godzina 11 wieczorem. Wracalem z Chrystjō z miejscowego Tivoli. Jakaż to parodia Kopenhagi! Dziwna mieszanina paryzkiego bruku z

*) Przypominam choćby fakt, że Pius IX samowolnie mianował biskupów. Powstał dopiero krzyk okropny kiedy papież zamianował biskupa Westminsteru, ale burza minęła prędko — kiedy zamiast biskupa Westminsteru przekształcił jego tytuł na Westminsterskiego biskupa!

powagą protestanckiego kościoła. Publiczność ospale przechodzi od skoczków do opery, a od opery do słuchania dźwięków wojskowej orkiestry. Zda się, że się jest na cmentarzu, a nie w jedynym przybytku miejscowej wesołości. Przychodniów nudziło śnać wszystko, poczynając od nich samych, a kończąc na samym przedstawieniu, zmartwiałbym tam chyba, gdyby nie Chrystjō, który wybuchami swego śmiechu rozganiał opanowującą mnie ponurość.

— O Your-Cook domb-founded! — krzyczał mi w swym żargonie. Oto patrz pan, skutki naszej pastorskiej moralności i nabożnej powagi. Przyznaj pan, że u nas gorzej niż na wschodzie...

— Jako gorzej?...

Turczynki czy Maurytanki przynajmniej od czasu do czasu gorącemi spojrzzeniami z po za woali wynagradzają wiernym jałowość życia, a u nas... Czy widziałeś pan europejskie miasto, gdzieby kobiety miały specjalne swe restauracje i cukiernie, zkaż mi, najpocziwszego z ludzi, dwadzieścia razy dziennie wyprasza, gdzie rzuciwszy uśmiech przechodzącej, zyskujesz w zamian tylko pogardliwe skrzywienie lub pobożną odrazę, gdzie... oto nasza Chrystjanja!...

I znów rozległy się nuty jego piosnki:

Vergiss mein nicht — petite fleur d'azure
Amante des eaux solitaires...

I pan narzekasz na brak wesołości?...

— Co do mnie osobiście, mam jej może nadto. I to wiesz pan, komu ją zawdzięczam? Oto trzech przodków moich umarło w górach z nudów i litościwy Jowisz wynagradza mnie teraz za krzywdy dziadów. O moja Klaro!

Nie było rady. Chrystjō był widocznie zakochanym.

Miłość rzeczywista w kraju, gdzie w powieściach jej nawet nie wprowadzają, gdzie w romansach każą czulić się słowiczym zamiast ludzkim kochankom....

— Ale sprzyj pan — szepnął mi znów Chrystjō. — Oto mój rodak z Sunelven.

Przy stoliku siedział chłop norwesk, popijając piwo i ponurym wzrokiem śledzący sztuki jakiegoś skoczka z psem, przekraczającego w tej chwili zasadnicze prawidła opieki nad zwierzętami.

— Widzisz pan — myśli on pewnie, jakby z tego tytułu uformować wniosek zabraniający pokazywania sztuk z psami. To ciekawszy z naszych okazów. Tu już nie jedna, ale cztery powagi siedzą w jednej osobie. Jeżeli kiedy zostanę deputowanym, postaram się go na koszt narodowy wypchać i postawić na placu zamkowym obok pomnika Karola XIII.

— I cóż panu z tego przyjdzie?

— Jeżeli Norwegczycy, spostrzegłszy wtedy, jak wygląda pruderja, nie parsną śmiechem, to kraj nasz skazanym już jest na wieczną zagładę, a śmiech by w nim nigdy nie zagościł.

Ale otóż jesteśmy na ulicy. Latarnie śnać dogorywają. W dali słycać tylko konający turkot uliczny i cichnące okrzyki majtków w porcie. Sklepy wszędzie pozamykane, gdzie niegdzie tylko jeszcze blade smugi światła przedostają się ze słabo oświetlonych restauracyj. Ale i tam widno cisza i pustki...

— Godzina jedenasta w nocy, to u nas godzina duchów — mówił znów Chrystjō. — Kontenci, że nic im tu gospodarować nie przeszkadza,

zjawiają się one o kilka godzin wcześniej niż w Sztokholmie.

I Chrystjō ścisnąwszy mnie za rękę, ziewnął przeraźliwie, krzyżąc mi nad uchem:

— Do jutra!

— Do jutra — odpowiedziały mu echa pustego w tej chwili Jernbanetorget.

Nazajutrz raniutko wyruszyłem do Sztokholmu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORRESPONDENCJA.

Zürich. W czerwcu 1881.

Świeczniki Nerona. Siemiradzkiego. — On a Hans Mackart. — Słowo o Siemiradzkim, jako malarzu. — Święto śpiewackie w Zurychu. — Pewien zakaz i uwaga krótka o jego społecznym znaczeniu.)

(Dokończenie)

Siemiradzki zaś, lubo w tendencyjność się nie bawi, zawsze daje swoim obrazom nie tylko zmysłów polechtanie i „estetyczny“ zachwyt, ale jeszcze i dla myśli podsuwa pracę, jeszcze gra na uczucia strunach i to niczem innym właśnie jak kontrastem. Kontrast ten u niego jest najzupełniej w duchu realistycznym, a niezależnie już od tego jest jeszcze zawsze głęboko ogromnie pomysłany... Choćbyś nie chciał, wyskakuje nieprzepraczone do ciebie myśl z jego obrazu i twoje myśli w wir porywa. Nie chce on wierzenia ślepego, owszem, woli abyś zwątpił, bo zaraz ci powie, że wątpisz niesłusznie, bo obok piękna kładzie ci piękna tego negację, sztuka potęgą myśli żywa, niewątpliwym tu zwycięzcą nad bezmyślną „sztuką dla sztuki“... Nie należy się dziwić, że takie nadając znaczenie porównaniu Siemiradzkiego z Mackartem, mamy obu za realistów. Owych dwu pierwiastków walka i w realizmie możebna. Dziś w sprawie realizmu wielkie zamieszanie, pełno nieporozumień w sporach jego zwolenników i przeciwników, a to wszystko dla tego, że mało kto dostrzega, jako realizm, który miał za zadanie (nie on jeden zresztą) sztukę z życiem powiązać, w krańcowym swym i najnowszym przejawie — naturalizmie, znowuż ją od tego życia odrywa, nie staje się wprawdzie estetyką dla estetyki, ale jest realizmem dla realizmu, co na jedno wychodzi... Artyści realistyczni przestają dziś niekiedy być anatomami i patologami, a *krają* coś... nie wiedząc na co i jak... krają bezmyślnie, dziwacznie, ot, aby krajać, aby się w szmaty posiekanego trupa zaryć, aby się pobabrać w kale rozciętego wrzodu i... nic a nic z tamtąd nie wy dostać!

Nie odbiegajmy za daleko wszakże! Jeszcze jedno o Siemiradzkim powiedzieć mamy i co, wedle nas, najważniejsze w nim, co „estetyków“ wali, jak maczugą... miazdzy niemiłosiernie. Niedosć, że daje on w swoich dziełach kontrast estetyczny, jeszcze u niego jak i u Mackarta piękność estetyczna najczęściej barwną jest tylko skorupą etyczno-socjalnej brzydoty; to zaś co wielkie, co wzniosłe, jest albo prostotą przedziwną, albo nawet przeraża. Granice między pięknem, a ujemnem, u niego wyraźne, jasne, niewątpliwe i myśl ogromna odrzucenia formy dla treści... U niego nie wolno ci się zachwycać jawno grzesznic orgją, choć tam tak pięknie, tak rozkosznie, bo musisz się nowej nauki zachwycać opowiadaczami

z Chrystusem na czele, choć oni prostotą swoją estetyczną z drugą grupą w porównanie iść nie mogą.

W *Neronowych świecznikach* wszystkie uczucia spływają na tych, co do słupów powiązani, choć to cię przeraża, zgrozą przejmują i choć tyle „estetycznego“ kwiecica najpyszniejszego, z drugiej strony — w około Nerona!

Nie mówię już o tem, jakim nieporównanym psychologiem jest Siemiradzki, przez każdą jego obrazu twarz zaglądasz do jakiejś duszy wnętrza i widzisz ją jasno, wyraźnie — rozumiesz, co się w niej dzieje!

Nie podobna nam tu więcej mówić... nie podobna mówić o społecznym znaczeniu obrazów naszego mistrza, a jest ono istotnie wielkie. Pomimo tematy ze starożytności brane, jest on współczesnym zupełnie, dla dzisiejszości mówi, dnie dzisiejsze maluje...

Ale dosyć już, dosyć... zakończymy tylko porównanie nasze Mackarta z Siemiradzkim, dając pierwszemu z nich nazwę kronikarza „nagich“ historii momentów, drugiego zaś, uznając historjografem... że nie powiemy więcej... „Kronikarstwo“ Mackartowe to jeno materiał dla duchów głębszych, dla myślicieli, jak Siemiradzki... *Wjazdy do Antwerpii* Mackartów, to tylko połowa obrazów takich, jak *Świeczniki Nerona...*, to tylko to, co na schodach Neronowych dzieje się pałaców, połowy drugiej tam brak... Na jej stworzenie nie dość realizmu pospolitego, trzeba jeszcze ten „realizm“ pojmovać, jak pojmovać go tylko może społecznie rozwinięta jednostka, a oddana szczerze myślą i uczuciem społeczeństwu...

A teraz, prócz tego, cośmy powiedzieli, musimy dać czytelnikowi coś jeszcze... musimy bodaj trochę o Szwajcarii pomówić, musimy pozornie przynajmniej nie zasłużyć na zarzut: czemuśmy nasze pisanie korespondencją nazwali?

Ale o czem to mówić, skoro nam miejsca już tak mało zostało? Ot, nadmieńmy o zürichskim *Gesangsfest*... Na przyszły raz się poprawimy i postaramy się mówić o rzeczach poważniejszych.

Otóż w Szwajcarii moc niezmierna stowarzyszeń muzycznych a szczególnie śpiewackich; w każdym je znajdziesz mieście i miasteczku, w gminie niemal każdej... Co parę lat śpiewacy z całej Szwajcarii w pewnym zjeżdżają się miejscu, aby się wyśpiewać potężnie i wyprawić sobie *fest*; co roku zaś odbywają się zjazdy takie w miastach kantonalnych tylko i urządzone bywają festyny dla śpiewaków każdego kantonu oddzielnie. Są to święta ludowe, ożywione co parę lat duchem patriotyzmu szwajcarskiego, a co roku „patriotyzyzmu kantonalnego.“ W każdym razie zabawy to miłe i pożyteczne... Otóż przed paru dniami zjechały się tutaj i poschodziły przeróżne korporacje śpiewackie z chorągwiemi, wstążkami, kokardami i miną weselną; śpiewano, grano i festynowano przez trzy dni w budzie na ten cel wystawionej,omalowanej i zielenią strojonej, dawano koncerty po kościołach i po knajpach i na ulicy nawet i w dzień i późną nocą... Rozhulał się lud na dobre, ale... ani żydów nie bił, ani

padał po ulicach z pijaństwa, ani pierzyn nie rozpruwał, ani zgola żadnych awantur „z kanonierami“ i bez „kanonierów“ nie wyprawiał... Pocieszne to doprawdy! Bo wyobraźcie sobie, ani policji, ani żandarmów nigdzie nie było!! *Horribile dictu*... W miejscach gdzie po kilka tysięcy ludu i to właśnie ludu się gromadziło, nie widzieliśmy ani jednego (wyraźnie) „stróża bezpieczeństwa“... wszyscy nimi byli sami dla siebie, i tylko gdy zebrania odbywały się w gmachu jakim, sprowadzano kilku żołnierzy straży pożarnej... Oto i wszystko! Albo nie... nie wszystko; Szwajcarja *nie obcina budżetów na oświatę ludową*...

To jedna *Gesangsfest'u* strona i niby sympatyczna dosyć, ale jest i druga mniej sympatyczna, bo kłamliwa... Wystawiono na owe trzy dni festu w różnych miejscach łuki tryumfalne z zieleni i kwiecica. Na łukach wisiały transparenty z gadaniem o *freies Lied*... *freies Wort*... a tego jakoś nie czepiała się *Freiheit i Volk*, które znowu miały być czegoś osnową... Otóż w tym roku te transparenty w zürichskim kantonie nie smaczne, bo zakazano w nim zjazdu międzynarodowego robotników. Niech naszych „patriotycznych“ a „demokratycznych“ etc. etc. polityków i społeczników nie zadziwia, że się nam to nie podoba. Nie ze stronnicych mówimy o tem względów. Zdaniem naszym, kto chce z „burzycielstwem“ i „negatywnością“ walczyć, ten burzyć i negować sam nie powinien... bo mu z tem brzydtko i śmiesznie. Tu właśnie ma ten wypadek miejsce, bo się targnięto na konstytucję, na prawa i praktykę uświęcone wiekami i wolą ludu... Jest to „burzycielstwo“, jest to nihilizm *sui generis*... Tyle bez stronnicy, bo stronnicy byłaby uciecha właśnie, uciecha z tego, że co nie słuszne i wadliwe samo się własnymi zabija niekonsekwencjami... Wolimy prace społeczne, wolimy myśl społeczną, choćby za namiętą czasem, za gwałtownie naprzód wyskakującą, niż „politykowanie“, zawsze kosztowne a nie użyteczne, objawiające się w kształcie jakiejś pajęczej, najprzedziwniejszych niekonsekwencji tkanki.

W. P.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

* Najtańsze i najpopularniejsze u nas wydawnictwo „Biblioteki Mrówki“, wydało w ostatnich czasach kilka nowych publikacji, a mianowicie: „Żywoć człowieka poczciwego“ Mikołaja Reja, najcenniejsze z dzieł tego autora, oraz „Worek Judaszów“ Sebastjana Klonowicza. Dzieła te stanowią tomiki 105—110, i 116—117 „Biblioteki Mrówki“.

* Aurelego Urbańskiego dwa poemata dramatyczne „Na Poddaszu“ i „Dramat jednej nocy“, przedstawiane z wielkiem powodzeniem na naszej scenie, wyszły z druku we Lwowie, nakładem Wydawnictwa Dziennika Polskiego.

* Dowiadujemy się, że sympatyczny autor „Miodowych miesięcy“, p. M. A. Dejski, wykończył nową komedję, przeznaczoną na sezon jesienny dla naszej sceny.

* Nowy, ilustrowany przewodnik do Tatr i Pienin, przez Walerego Eljasza z 22 ilustracjami, opuścił prasę w Krakowie, nakładem autora. Dla każdego udającego się do tych pięknych okolic, książka p. Eljasza jest nieocenionym skarbem, zawiera bowiem opisy miejscowości uskutecznione przez znawcę, niezbędne szczegóły dotyczące wycieczek, cen, itp. a nadto 22 śliczne widoczki i plany. Wydanie bardzo staranne i w ładnej oprawie.

* Nakładem Redakcji „Dziennika Polskiego“, wyszła z druku broszurka, napisana z powodu okólnika krajowej Rady szkolnej z d. 23. marca 1881 r. Tytuł jej: „Stanowisko języka niemieckiego w galicyjskich szkołach średnich.“ Zawiera ona uwagi nader trafne i słuszne.

* P. Feliks Lewicki napisał i wydał w Stanisławowie książeczkę p. t. „Węgrów, Obrazek historyczny.“ Jest to szczegółowy opis bitwy pod Węgrowem, jednej z największych w powstaniu r. 1863.

* W Krakowie ukazała się książeczka, p. t. „Wawel, Katedra, Zamek, Biskupstwo. Z wydawnictwa dzieła: „Kraków święty.“ Z dodatkiem informacji dla zwiedzających Kraków.“

* Staraniem Warszawskiego Tow. kredytowego ziemskiego wyszedł w trzech tomach zupełny „Zbiór praw i przepisów T. K. Z. wydanych od r. 1825 do końca 1880, to jest od chwili założenia Towarzystwa aż do czasów obecnych.

* Munkacsy za nowy swój obraz Chrystusa żąda 800.000 franków.

* Do tegorocznego salonu paryskiego dopuszczono dzieła... 612 kobiet.

W oddziale obrazów olejnych wystąpiło 198 pań, 465 w oddziale akwarell i 49 w rzeźbie.

Sędziowie odznaczyli tylko ośm wystawczyń...

* Bankier paryski, Izaak Pereire przeznaczył na początku r. 1880 nagrodę 10.000 franków za najlepsze prace na temata społeczno-naukowe. Termin nadsyłania prac upłynął z końcem r. z. Przystąpienie nagrody miało nastąpić w ciągu pierwszego kwartału r. 1881. Ogółem nadesłano rozpraw z górą pięćset ze wszystkich krajów, wskutek czego komisja przed upływem kilku miesięcy nie będzie mogła ukończyć pracy.

Společne i ekonomiczne.

* Kometa jaśniejąca obecnie nad Europą zauważaną najpierw została w Ameryce południowej.

Depesze telegraficzne o jej pojawieniu się nadesłali do Europy: astronom Gould z Buenos Ayres i cesarz brazylijski, noszący jako uczony, przybrane nazwisko dr. Alcantasa.

O ile się zdaje, astronomowie jeszcze nie zorientowali się ściśle co do tej komety; Gould wyliczył, że daleko później ukaże się w Europie, niż się rzeczywiście ukazała.

Jak długo u nas będzie widoczną nie wiadomo.

Astronom Palisse w Wiedniu zauważył, iż kometa posiada dwa warkocze, jeden górny, drugi dolny, a obserwacja ta nadaje więcej prawdopodobieństwa przypuszczeniu, iż jest identyczną z kometą z 1807 r.

Jądro jej odznacza się wielką jasnością i rozmiarami swojemi przewyższa gwiazdy pierwszej wielkości.

Warkocz ma około 5 stopni długości i przeszło stopień szerokości.

* W ostatnich czasach roboty około budowy tunelu św. Gotarda tak bardzo postąpiły, iż tenże może być ukończony całkowicie do października.

* Według urzędowego wykazu biura statystycznego, w ciągu maja przybyło do Stanów Zjednoczonych ogółem 117,482 emigrantów.

Treść: Operacja finansowa na żydach, obrazek ze wspomnień przeszłości, skreślił M. Starczak (c. d.) — Austrija, Niemcy i Słowianie, uwagi polityczne, przekład z rosyjskiego. (dok.) —

Kronika naukowa przez B. Abakanowicza. — Z niedrukowanych poezyj Antoniego Goreckiego, wiersz. — Kronika tygodniowa. — Urywek z podróży po

Norwegji. (c. d.) — Korespondencja z Zurichu. (dok.) — Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, tom II-gi, arkusz 12-a.